

Lem mówi o braku porozumienia. Czy jest bardziej aktualny temat?

Interesuje mnie problem niemożliwości osiągnięcia kontaktu. Między cywilizacjami, rasami, narodami, religiami, warstwami. Między nami – ludźmi. Komunikujemy się powierzchownie, byle jak, niecelnie. O tym jest ta sztuka – mówi reżyser **WOJCIECH KOŚCIELNIAK** przed premierą „Solaris”

ROZMAWIA *Jolanta Ciosek* | ZDJĘCIE *Andrzej Banaś*



Wojciech Kościelniak, aktor, reżyser, absolwent krakowskiej PWST – wydział zamieścił wrocławiu. Był aktorem m.in. Teatru Polskiego we Wrocławiu, w latach 2001-2004 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Muzycznego – Operetki Wrocławskiej, w latach 2004-2006 dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Muzycznego Capitol. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród, m.in. Nagrody Specjalnej miesięcznika „Teatr”. W 2009 został odznaczony Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis.

Premiera „Solaris” 25 czerwca, godz. 19, Duża Scena Teatru im. Słowackiego.

– Z rozrzewnieniem wspominam Pańskie „Śluby panieńskie” w krakowskiej PWST, potem była „Ziemia obiecana” i „Bracia Dalczy” w Teatrze im. Słowackiego – dobrze się Pan czuje u nas, pod Wawelem?

– Lubię Kraków i z radością do niego wracam. Ale przypomnę, że wcześniej zrealizowałem tu jeszcze „Proces” Kafki i „Sen nocy letniej” wg Shakespeare’a. Praca w Teatrze Słowackiego to zawsze wyróżnienie, niezwykła przygoda i praca z niesamowitymi twórcami, głodnymi artystycznymi poszukiwaniami.

– Jutro zobaczymy „Solaris”. Nie będzie to musical, jak niemal wszystkie dotychczasowe Pańskie spektakle w całej Polsce. Co się stało?

– Szanuję musical, uważam, że jest potrzebny, podobnie jak opera, operetka czy inne muzyczne formy. Od lat staram się powołać sceniczny gatunek, który wypełni istniejącą lukę. To luka pomiędzy teatrem dramatycznym i muzycznym. Ten pierwszy często nie docenia drugiego, ten drugi nierzadko godzi się na zbyt daleko idące uproszczenia. W spektaklach próbuję łączyć różne elementy teatru muzycznego i dramatycznego. Teraz, przez chwilę, przyszła pora na dramat. Uznałem, że „Solaris” Stanisława Lema, powieść, której adaptację przygotowałem, ciekawiej zabrzmiał w formie dramatycznej, bez musicalowego śpiewania. Tekst Lema jest wielopłaszczyznowy, filozoficzny, głęboki i nie chciałem z tego robić show. Stąd taka decyzja.

– Kościelniak to Warlikowski i Lupa scen muzycznych, a Pan chce zostawić musical?

– Nie, przecież przez lata szukałem własnej drogi. I w pewnym stopniu znalazłem ją. Kocham to, co robię i nadal chcę iść własną ścieżką. Moje korzenie, z których wyrosłem, to teatr muzyczny i dramatyczny – staram się uczyć robić to, co choć trochę potrafię i czego choć trochę się nauczyłem. Ale nie można zawężać się do jednego gatunku sztuki. Choć rozrywka, jaką jest musical, w swej bezczelności jest ludzom bardzo potrzebna. Ale przecież nie tylko rozrywka i oby jej nie było zbyt dużo w teatrze dramatycznym.

– Co szczególnie zainteresowało Pana w powieści „Solaris”?

– Lemowski problem niemożliwości osiągnięcia kontaktu. Między cywilizacjami, rasami, narodami, religiami, warstwami społecznymi, płciami i po prostu ludźmi. Prawdziwy kontakt jest niemożliwy. Komunikujemy się powierzchownie, byle jak, niecelnie. To główna przyczyna nieszczęścia, jakim jest historia naszej cywilizacji. Lem napisał to tak: Jak mamy porozumieć się z oceanem Solaris, jeżeli nie potrafimy już tego uczynić między sobą? Rozumiem to w ten sposób: Jak mają się porozumieć różne cywilizacje, skoro my sami, będący także odrębnymi cywilizacjami, nie potrafimy porozumieć się ze sobą? Dla Lema inną cywilizacją jest nie tylko ta kosmiczna, ale także ta ludzka. Nawet człowiek



sam ze sobą nie potrafi się porozumieć, bo w nim, w jego mózgu istnieje jakby inna nieznaną cywilizacja. To nasze wyparte myśli, emocje, dążenia. Sądzę, że jest to ciekawe spojrzenie na relacje międzyludzkie również w kontekście politycznym, socjologicznym, moralnym. Słuchamy tylko siebie i to tylko siebie z dzisiaj. O tym, co myśleliśmy i mówiliśmy wczoraj, chętnie zapominamy. Jesteśmy coraz bardziej samotni na poziomie poglądów, polityki, płci, jak i samego siebie. Coraz bardziej samotni, oddaleni. Myślę, że trzeba się temu przyglądać. To przecież tematy bliskie dramatom dzisiejszej Polski, Europy i świata.

– A zatem powieść science fiction może być kluczem do rozumienia współczesnej rzeczywistości?

– Jak najbardziej. Mam wrażenie, że odnalazłem w tekście Lema wiele tematów, które nurtują mnie tu i teraz, dzisiaj. Poprzez świat Lema możemy skutecznie rozważać dylematy współczesnego człowieka i świata. I jest to o tyle ciekawe, że diagnoza nie jest wypowiedziana wprost. To, co ważne, pojawia się delikatnie, pomiędzy wierszami i przez to jest jeszcze bardziej inspirujące. Zresztą powiem szczerze, że ilekroć zabieram się za realizację teatralną, bez względu na to, czy jest to klasyka, czy rzecz współczesna, zawsze chcę opowiadać o tym, co tu i teraz. O współczesności. – Był musical, jest dramat, może nadszedł czas, by poszukał Pan trzeciej drogi w swej teatralnej twórczości?

– Zanim ją znajdę, jeśli tak się zdarzy, to cały czas jestem właśnie w drodze, na etapie szukania własnego języka wypowiedzi. Znalazłem go w pewnym stopniu w musicalu, pora szukać dalej. Ale nie chcę zdradzać wszystkiego i do końca.

– Poszedł Pan własną, osobną drogą, realizując musicale według „Opery za trzy grosze”, „Snu nocy letniej”, swym „Kombinatem” – spektaklem sprzed lat, złożonym z piosenek „Republiki” – zawojował Pan Przegląd Piosenki Aktorskiej, za musical według „Lalki” Prusa otrzymał Pan nominację do Paszportu Polityki, Złote Maski, musicale „Chłopi”, „Zły”, „Czyż nie dobija się koni”, nagrody, nagrody, wyróżnienia – uff, przecież od takich sukcesów może się w głowie poprzewracać – przewróciło się Panu?

– Oby nie i mam nadzieję, że to mi nie grozi. Znam swoje miejsce i swoją wartość.

– Był Pan wiele lat wrocławskim aktorem grając wiele ważnych ról, dyrektorem Teatru Capitol...

– Te drzwi są już za mną zamknięte. I nie ma powrotu do tamtych czasów.

– Dlatego nie przyjął Pan propozycji objęcia dyrekcji Teatru Muzycznego w Gdyni?

– Czasami korci mnie dyrekcja, ale korci mnie w niej to, czego nie chcę słuchać: poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji. Przed tym się bronie i wybieram tę moją część, która buntuje się przeciwko rozleniwieniu. Twórczą

wolność stawiam ponad wszystko. Przez kilka lat byłem dyrektorem Teatru Muzycznego Capitol we Wrocławiu, a więc znam smak sukcesu i porażki. Znam swoje zalety, ale też wady. Noszone mnie na rękach i dostawałem tegie lanie. Jedno i drugie mnie wzbogaciło, ale sądzę, że porażki uczą więcej, szybciej się po nich dojrzewa. I łatwiej zobaczyć u siebie pychę czy butę. Wierzę, że mam jej zdecydowanie mniej. Krótko mówiąc: nie sądzę, by dyktowanie było tym, co lubię i potrafię robić najlepiej.

– W swych artystycznych peregrinacjach wraca Pan czasami do swych mistrzów: Grzegorzewskiego, Wajdy...

– Ale i Felliniego, Bergmana – nimi też się fascynowałem. Myślę, że mistrzowie zawsze pozostają, jeśli nie w naszych sercach, to w umysłach.

– Jako człowiek zapewne spełniony, bo z sukcesem zawodowym, proszę zdradzić, co tak szczególnie kocha Pan w miejscu, które dało Panu sukces, czyli w teatrze?

– Z tym spełnieniem to różnie bywa. Czasami staje człowiek przed pustką i zastanawia się, czy aby nie należy budować siebie od nowa. A co w teatrze najbardziej kocham? Możliwość bezpośredniego uczestniczenia w stwarzaniu świata. Magię, która nas porывa, unosi kilka centymetrów nad ziemię i pozwala wierzyć w to, co się dzieje na scenie. ©